ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. Lutego N^er 7. Roku 1843.

DYJANA.

Pewnego poranku w lecie w roku 1656, oddział żołniérzy, idący drogą do Paryża, zatrzymał się niedaleko *Caen,* pod murami pięknego budynku w stylu *renaissance,* który zwano *Fontaine-le-Henry.* A że pod ów czas nie było tak ostréj jak teraz karności, żołniérz więc dopuszczał się krzywdzących bezprawiów, na które oficerowie bynajmniéj nie zważali. Kilkunastu z tegoż pocztu zakwaterowało się bez wszelkiéj ceremonii w chatce kmiotka; poczęli hałasować, wypróżniać beczki, zabijać bydło, okładać biédnego gospodarza kijami, słowem tak panować, jakbyto na zdobytéj orężem stanęli ziemi. Podczas gdy żołdactwo łotrowało na zagrodzie biédnego kmiotka, ukazał się na drugim rogu ulicy Żyd z tłumoczkiem na plecach, wspiérający się na ręku młodéj, bardzo pięknéj dziéwczyny. Byłto spekulant obnoszący towary po domach. Skoro ujrzał żołniérzy, chciał w inną stronę zwrócić, ale już go postrzeżono: cztérech żołniérzy zabiegło mu drogę, i pochwyciwszy go, powlokło przed zamek. Nasz spekulant, chociaż był Żydem, nie troszczył się bynajmniéj o tłumoczek, ale był w największéj trwodze o młodą dziéwczynę, która drząca i blada tuliła się do boku jego.

Podochocone żołdactwo ofuknęło Żyda, aby rozpakował tłumoczek. On drżąc na całém ciele, zabiérał się wypełnić rozkaz, lecz w téjże chwili opuszcza tłumoczek, biegnie na krzyk młodéj dziéwczyny, wydziérającéj się z uścisków pijanego żołniérza i zaklina bezwstydnego opilca, aby dał dziéwczynie pokój. Lecz nadaremne prośby jego, pijanica staje się coraz natrętniejszym. Już w ręku Izraelity uniesionego zemstą błysnął sztylet, już chce nim ugodzić w nikczemnego napastnika, gdy oto zjawia się jakiś podróżny, zeskakuje z konia, i groźnym tonem rozkazuje żołniérzowi, wypuścić z rąk ohydnych niewinną ofiarę. Pijanica słucha rozkazu, chociaż nie może sobie dać sprawy, dla czego to czyni; kupiec bierze na pół zemdlałą dziéwczynę w swoje ramiona i oddala się z nią szybko, zostawiając tłómoczek w ręku żołdactwa.

Szlachetny obrońca stawa przed żołniérzami i rozkazuje, aby zaniechali rabunku i nie plamili imienia żołniérza, zatrzymując cudzą własność przy sobie.

Śmiéchem i szemraniem odpowiadają żołniérze.

»Jako?« ozwie się nieznajomy, odsłaniając swoje wojskowe znaki. »Od którejżeto chwili nie słuchają żołniérze francuzcy rozkazów królewskiego oficera?«

»Od téj chwili«, rzecze jeden z oficerów pośród żołniérzy, »odkąd mają na czele kapitana, który im rozkazuje, a natrętnym śmiałkom umié dać odprawę.«

Nieznajomy zwrócił się do mówiącego i pozdrowiwszy go grzecznie, rzekł: »Masz słuszność panie kapitanie. Daruj, że cię nie postrzegłem. Bądź pewien, żebym się był udał do ciebie żądać sprawiedliwości na tych rabusiów.«

»Moi żołniérze nie są rabusiami«, przerwał opryskliwie kapitan, i widząc uległość oficera, zaczął z wyższéj dąć nuty.

Nieznajomy uśmiéchnął się, patrząc na pawią naturę swego przeciwnika, kazał zawrócić kupca i jego towarzyszkę, poczém rzecze do Żyda: »Przystąp bliżéj, nie obawiaj się niczego; zbierz twoje towary i ruszaj z Bogiem. Weź także i tę kieskę w nagrodę za stratę, którą poniosłeś.«

Izraelita patrzył to na pieniądze, to na oficera. Po chwili wahania się, wyciągnął rękę po kieskę, ale córka wstrzymała go, a wyraz niechęci widać było na jéj twarzy.

»Mój ojciec«, rzekła do oficera, »dziękuje ci panie za twoję łaskę. Szkoda nie jest znaczną. Niech cię Bóg błogosławi za twoję waleczność i twoje szlachetne serce, żeś słabemu starcowi i jego dziécięciu zbieżał ku pomocy.«

Nieznajomy ujęty grzeczném ułożeniem i słodyczą, z jaką dziewczyna przemówiła, uśmiechnął się z dobrocią, a powitawszy ją uprzejmie, nalégał, aby wraz z ojcem co prędzéj do *Caen* powróciła. Poczém rzekł do kapitana, przypatrującego się téj scenie z szyderskim uśmiéchem:

»Teraz jestem na pańskie rozkazy. Nazywam się margrabią Philippe de Senancourt, jestem równie jak pan kapitanem w służbie królewskiéj. Spodziéwam się, że dwóch z waszego grona (to mówiąc, zwrócił się do oficerów), nie odmówi mi téj grzeczności, i będzie moim sekundantem w rozprawie z panem kapitanem.«

»Przyjmuję wezwanie«, odparł kapitan, pozdrawiając nieznajomego. »Moje imię hrabia Etienne de Maurevers.«

To rzekłszy, dobył szpady, i wyznaczył nieznajomemu dwóch oficerów za sekundantów. Ci zaczęli się umawiać z sekundantami kapitana o warunki pojedynku i długość szpad przymierzać.

Dziéwczyna widząc przygotowania do krwawéj rozprawy, ujęła ojca za ramię, błagając go, aby się nie oddalał.

»Ojcze, on naraża swoje życie za mnie i za ciebie, mamyż go opuścić? O, nie, spieszmy mu na pomoc.« To mówiąc, chciała się przedrzéć do swojego wybawcy, ale nadaremnie, żołnierze stanęli jéj w drodze nieprzełamaną zaporą.

Nie długo trwała przeprawa; zaledwie się złożyli, kapitan kompanii padł raniony lekko w piersi.

»Dobrześ ugodził!« rzecze urywanym głosem. »Jesteś margrabio równie zręcznym jak odważnym. Moi panowie!« rzekł do oficerów. »Nazwisko tego pana, niech każdy z was wymaże z pamięci, jam był przyczyną tego wszystkiego, co zaszło, nie chcę, aby mój przeciwnik doznał jakiéj nieprzyjemności.«

To rzekłszy, podał rękę Filipowi de Senancourt, który pomagał żołnierzom zanieść rannego do chaty, ogołoconéj rabunkiem wojskowym.

Jeszcze się do chaty nie zbliżyli, gdy oto roztwiéra się zamkowa fórtka, z niéj wychodzi mężczyzna w czerni ubrany i mówi uroczystym głosem: »Moi panowie! Jestem w prowincyi Normandyi głównym sędzią Jego król. Mości. Mimo najsurowszego zakazu ustaw, odbyliście niedawno pojedynek. Ubolewam mocno, że muszę to czynić, co mi nakazuje moja powinność. Proszę o wasze szpady. Nazywacie się?....«

»Hrabia Etienne de Maurevers«, odrzekł zraniony.

»Margrabia Filip de Senancourt«, rzekł kapitan królewski.

»Hrabio Maurevers jesteś więźniem króla; ręczysz słowem honoru, że skoro przyjdziesz do zdrowia, udasz się do Paryża, dalszych oczekiwać rozkazów.«

Kapitan skłonił głowę.

»Ty panie margrabio, będziesz mi towarzyszył do mego zamku *Fontaine-le-Henry*. Jutro udamy się obadwaj do Paryża, mam bowiem rozkaz przystawiać do stolicy tych wszystkich, których w honorowéj rozprawie na uczynku zastanę. Król sam pragnie położyć tamę pojedynkom, które potępia moralność i religija. Niemiło mi jest oświadczyć panu, że się obawiam, iż trudno będzie, abyś uzyskał ułaskawienie. Jesteś wprawdzie młodym, pomyśl jednak wcześnie o pojednaniu się z Bogiem i uzbrój się w męztwo, gdy ci przyjdzie stanąć przed trybunałem sędziego.«

Młoda dziewczyna struchlała słysząc te słowa. Blada, drząca, zaledwie zdołała utrzymać się na nogach, padła na kolana przed groźnym sędzią i rzekła błagającym głosem:

»Łaskawy panie! Czyliż młody, odważny mężczyzna, ma ginąć śmiercią za to, że się ujął za ubogim starcem i słabą niewiastą? O, nie, król nie zechce takiéj niesprawiedliwości. Dobrotliwy panie! Błagam cię o łaskę dla margrabiego!« — Sędzia nie zważając na prośby i łzy dziewczyny, udał się

do zamku, a za nim nasz szlachetny obrońca. — Dziéwczyna zalewając się łzami, szła ślad w ślad za okrutnym sędzią i zanosiła gorące prośby, dopóki przed nią nie zamknięto fórtki zamkowéj. W srogiéj boleści upadła na ziemię, potokiem łez zlała piękne lica.

Po długiéj chwili przyszła do siebie, otarła łzy z oczu, ujęła za ramię starca, który z tłumoczkiem na plecach, oparty na kiju, w milczącym smutku patrzył na swoję córkę, i rzekła z silném postanowieniem: »Ach mój ojcze! Spieszmy do Paryża, spieszmy, zaklinam cię mój drogi ojcze!«

»Do Paryża? Co mówisz moje dziécię? Wszakże niedawno opuściliśmy Paryż z towarami, które chcę w Normandyi sprzedać. Nie pojmuję cię moja córko. Po cóż mamy wracać do Paryża?«

»Aby wyjednać ułaskawienie naszemu wybawcy.«

Ojciec wstrząsnął smutnie głową.

»O moja córko! Czy podobna, abyś ty, uboga dziéwczyna, nie mająca żadnéj protekcyi, zdolała uwolnić z więzienia naszego wybawcę? Czy wiesz, że tylko król lub kardynał Mazarin, jest mocen uchylić wyrok śmierci? O moje dziécię! Ubogiéj dziéwczynie, córce Żyda nie wolno przestąpić progu bogatych pałaców!«

»Ja rozkuję jego kajdany, uwolnię go z ciemnego więzienia, lub umrę pod ciężarem przeszkód, które mi złamać potrzeba. Niech mi nikt tego wyrzutu nie poszle do grobu, że Dyjana odstąpiła w nieszczęściu swojego wybawcę.«

Ojciec starał się odwieść ją od tego zamysłu, ale dziéwczyna nie zważając na słowa starca, jakby nową tknięta myślą, przedziera się odważnie przez garstkę żołnierzy i stawa przed gronem oficerów: »Moi panowie! Nie prawdaż, że jest nadzieja ułaskawienia margrabiego Senancourt?«

»Nadaremne wszelkie zabiegi«, odrzekł jeden z oficerów. »Tylko ucieczka może go uratować. Kardynał zobowiązał króla przysięgą, że żaden z duelantów nie otrzyma ułaskawienia. Właśnie w przeszłym tygodniu ośmiu młodych ludzi opłaciło życiem nieposłuszeństwo swoje.«

»Więc ucieczka jest jedynym środkiem? Wszak te były wasze słowa?.... Jako? Dozwolicież, aby szlachetny mąż, któregoście odwagę przed chwilą podziwiali, ginął na rusztowaniu?«

»My nie możemy się w niczém do jego uwolnienia przyłożyć. Kto przemocą wydziera więźnia z rąk głównego sędziego, ten gra o swoje życie.«

»O mój Boże!« zawołała dziéwczyna w rozpaczy, »nie masz więc żadnego środka, aby ratować jego drogie życie? Chceszże go opuścić dobrotliwy Boże?« Po chwili bolesnéj walki wzięła na stronę dwóch żołdaków, ludzi bez charakteru, okrucieństwem i rabunkiem celujących: »Czy chcecie zarobić 100 luidorów?«

»Mówisz bardzo miło moja panienko. Któżby nierad zarobić!«

»Dam wam tę sumę, jeźli uwolnicie margrabiego, gdy wraz z sędzią będzie wyjeżdżał z zamku.«

»Tam do czarta! To pachnie stryczkiem! Sto luidorów zamało, aby nadstawić karku!«

»Dobrze więc«, rzekła dziewczyna wyciągając z-za gorsa wysadzany drogiémi kamieniami łańcuch. »Te kamienie warte są trzy razy tyle, ile wam ofiarowałam. Będą waszą własnością, skoro uwolnicie margrabiego.«

»A sto luidorów z poprzedniego targu będzie także do nas należéć?«

»Niech i tak będzie«, odrzekła dziewczyna z pogardliwym uśmiéchem.

»Chwilkę cierpliwości«, przemówił Żyd, który przysłuchując się całéj rozmowie, stał jakby na torturach. »Dyjano, wstrzymaj się, rozważ... ten naszyjnik....«

»Nie wahaj się mój drogi ojcze, wszystko dla niego poświęcić. Cóż znaczy garść złota tam, gdzie idzie o życie człowieka, który jest naszym wybawcą? Twoje złoto mój ojcze, byłoby się stało łupem żołdactwa, gdyby nie on ukazał się ku naszéj obronie.«

Ojciec westchnął głęboko i milczał. Córka miała nad nim nieograniczoną władzę.

»Teraz«, zwracając się do najętych, rzecze Dyjana, »trzeba pomyślić nad środkami, jakby nasz zamiar przywieść do skutku.«

»Środki nasze są bardzo proste. O pół mili z tąd, jèst w lesie droga uboczna, nią zapewne uda się sędzia, gdyż głównym go-

ścińcem musiałby dwie mile nakładać. Zrąbanem drzewem zawalimy mu drogę, powóz stanie, a my wtedy krzykniemy na margrabiego, aby wyskoczył z powozu; koń będzie w pogotowiu, a resztę zdajmy na wolę Boga!«

»Dobrze mówicie, na wolę Boga!..... Będzie uratowanym!«

»Mam konia«, rzecze jeden, »jakich mało! Pędzi jak szatan, dwie mile leci bez wypoczynku. Takiego latawca właśnie nam potrzeba. Daruję go wam panienko za lichych pięćdziesiąt luidorów.«

Żyd już i tak porządnie oskubany, podskoczył do góry z gniewu:

»Dziewczyno, chcesz mnie przyprawić o kij żebraczy!«

»Przystaję na wszystkie wasze warunki«, odrzekła Dyjana. »Wypełnijcie jeno wasze przyrzeczenie z tą samą rzetelnością, z jaką ja moich dopełnię.«

»Obaczysz moja śliczniuchna panieneczko, jak się spiszemy! Kto dobrze płaci, temu się dobrze służy.«

»Ja z wami razem pójdę na zasadzkę?«

Żołdaki wytrzeszczyły oczy. »Jako, chcesz się na takie wystawiać niebezpieczeństwo? Śmierć cię czeka, gdyby cię schwytano. Jeszcześ tak młoda, a już chcesz igrać twojém życiem?«

»Mojém życiem? Mniejsza o to. Wszakże i on stawił swoje życie za mnie, za mnie, co mu jestem obcą. Mamże się teraz wahać i drżéć przed niebezpieczeństwem, ja, którám go do więzienia, a może na rusztowanie zaprowadziła? O, nie, chętnie oddam ostatnią kroplę mojéj krwi dla niego!«

»Jeźli panienka tak sądzisz, siadajże na konia i daléj galopem z nami.«

Młoda dziewczyna przed chwilą drżąca i trwożliwa, dosiadła dzikiego konia, i powierza się dwóm łotrom, na których widok coniedawno bladła. Uściskawszy swojego ojca, chciała się z nim pożegnać, te mówiąc słowa:

»Udaj się mój dobry ojcze do *Caen.* Jeźli jutro nie będziesz miał żadnéj wiadomości od twojéj córki, westchnij do Boga i módl się za jéj duszę.«

»Ja cię nie opuszczę moje drogie dziécię«, rzekł ojciec z silném postanowieniem. »Czémże mi życie, bez ciebie? Dzień twojéj śmierci, będzie i dla mnie ostatnim. Daléj więc w drogę.«

»Łebski z ciebie człowiek!« rzekł jeden z żołdaków, klepiąc Żyda po ramieniu. »Twoje postanowienie warte dwadzieścia pięć luidorów. Lubię się bratać z odważnym. Chociaż nie bardzo miękkie mam serce, przecież się trochę zatrzęsie, gdy widzę, że się kto śmiało zabiéra do dzieła, z którego szatan nie będzie miał uciechy. Raźno więc na szłapaka i daléj z kopyta.«

Tego dnia wieczorem, kiedy już słońce dogrzéwać przestało, wyruszył powóz z zamku *Fontaine-le-Henry* drogą do Paryża i udał się bocznym gościńcem, tak, jak ci dwaj hultaje przepowiedzieli. Ciemność nocy była już bardzo wielką, gdy powóz dojeżdżał lasu. Turkot kolasy i tętęt kopyt końskich pędził krew do głowy Dyjany, była bardzo wzruszoną. Aż tu za jednym razem uderza powóz o zawadę, którą ci dwaj urwisze podług umowy podłożyli, woźnica klnie, na czém świat stoi, powstaje zamieszanie, jeden z czatujących wysuwa się z zasadzki, przystępuje do powozu, otwiéra drzwiczki, mówiąc: »Panie margrabio, z tąd o dwa kroki stoi dzielny koń w pogotowiu. Uciekaj póki czas!«

»Mości panie«, odrzekł młody oficer donośnym głosem. »Ktokolwiek jesteś, dziękuję ci za twoje ku mnie życzliwość, ale niepotrzebnie narażasz się na niebezpieczeństwo, ja nie mogę z twego poświęcenia się korzystać. Dałem jegomość panu sędziemu moje szlacheckie słowo honoru, że nie będę szukał sposobności do ucieczki. — Bądź pan jednak przekonanym, że chociaż nie mogę przychylić się do jego życzenia, pamięć o jego przywiązaniu wiecznie w mojém pozostanie sercu.«

Zaraz przy piérwszych słowach młodego oficera, dwaj bohatérowie wzięli za pas nogi. Elijasz, poczciwy starowina odszedł ze strachu od zmysłów, sama tylko Dyjana słyszała, co mówił jéj wybawca.

Pan Senancourt pomagał wraz z sędzią odwalić kłodę, którą drogę zatarasowano. W kilku minutach uprzątnięto zawadę, powóz ruszył w drogę. — Słysząc turkot oddalającego się powozu, Dyjana pochwyciła ojca za rękę i zawołała z boleścią: »Ojcze mój! idźmy do Paryża. Umrę lub go uratuję!« Elijasz odpowiedział westchnieniem, byłato jego zwykła odpowiedź na wszystkie żądania ukochanéj córki.

Drogę z *Caen* do Paryża wynosząca pięćdziesiąt pięć godzin, odbyli we trzech dniach nasi podróżni. Powieść nasza zaczyna się za panowania Ludwika XIV., nie dziw więc, że tak pomału szła podróż, wtedy nie było ani kolei żelaznych, ani wozów pocztowych. Podróżny musiał swojémi jechać końmi.—I naszym podróżnym nic innego nie pozostało, jak wsiąść na konie i ruszyć w drogę. Nim się jednak puszczono w podróż, zajechano na nocleg, aby konie dobrze wypoczęły.

Dyjana zniosła tę odwłokę bez szemrania.

Trzeciego dnia wieczorem ujrzała Dyjana miasto, którego z taką niecierpliwością wyglądała.

Stanęli gospodą w domku leżącym na ustroniu przy ulicy *Geoffry-l'Asnier.* Stara kobiéta siedząca na progu domostwa, ujrzawszy naszych podróżnych, wrzasnęła z podziwienia na całe gardło i wzniosła ręce do góry, mówiąc: »Święta Marto, moja patronko, co ja widzę? Jeszcze nié ma wiosny, a jaskółki już przylatują. Ojciec Elijasz i Dyjana po dwóch miesiącach niebytności, znowu w Paryżu? Nie spodziéwałam się aż na początku zimy. Witajcie nam, witajcie w domu staréj Marty Veron. Przecież nic złego wam się nie przytrafiło, nie prawdaż?«

»Nie stało nam kilka gatunków towarów, w piérwszych dniach sprzedaliśmy bardzo wiele«, rzekła Dyjana. »Otóż teraz przybyliśmy, aby się w nie zaopatrzyć, a potém znowu ruszymy w drogę.«

»Nie wchodzę w przyczyny, dla czegoście tak prędko powrócili«, odrzekła staruszka. »Dość mi na tém, że tu jesteście. Witam was z całego serca. Weźmiecie na pomieszkanie te dwie małe izdebki z oknami wychodzącémi na ogród. Dyjana lubi te pokoje. Nieprawdaż? Ojcze Elijaszu wy zechcecie zjeść wieczerzę?« To mówiąc, przymrużyła siwe oczy. »Możecie bez obawy pożywać, nie będzie w potrawie ani kawałka słoniny, a mięso wzięłam od waszego przyjaciela, rzeźnika starego Samuela, on po waszemu bije bydło, i mieszka za *Palais-Royal.*

W godzinę potém Marta stół zastawiła. Elijasz wziął się do posiłku, nie zważając, że pani Marta oblała sos słoniną i zastawiła mięso nie oczyszczone ze krwi wedle przepisów talmudu. Dyjana zaś ani tknęła jadła.

Gdy sam na sam zostali, Dyjana usiadła ojcu na kolanach, objęła szyję białémi ramiony, zaczęła głaskać siwą brodę Elijasza, jego wychudłe policzki, i całować jego poorane zmarszczkami czoło.

»Bóg nas pobłogosławi, jeźli dopełnimy powinności, które wdzięczność na nas wkłada«, rzekła pieszczonym głosem, widząc w oczach starca trwogę i niepokój.

»Niech cię Jehowa ma w swojéj opiece i wysłucha twojéj szczeréj prośby!« odpowiedział ojciec z westchnieniem. »Moje dziécię! Dałby Bóg, aby to na dobre wyszło! Ale ja nié mam nadziei.«

»Obaczysz ojcze, że wszystko dobrze się skończy«, przerwała dziéwczyna, chociaż sama nie miała téj ufności, którą w sercu ojca obudzić chciała.

»Jestem ubogi, nieznany, jestem wyznawcą religii, którą tu każdy pogardza. Jestże podobieństwem, abyś mogła uratować od śmierci możnego pana, którego los w ręku samego króla?«

»Dawid, ubogi, słaby chłopczyna pasący trzodę, położył trupem Golijata i przyozdobił skronie koroną Saula.«

Elijasz westchnął głęboko i powstał nie rzekłszy ani słowa.

»Mój ojcze, nim się oddalisz do twojéj izdebki, mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.«

»Jaką? Mów...«

»Chciéj się mój drogi ojcze postarać o muła z siodłem damskiém. Jutro udam się do królewskiego zamku. Prosiłabym cię ojcze, aby ubranie muła było schludne, ale bez przepychu.«

»Dobrze moje dziécię, pójdę nająć dwa muły.«

»O, nie, mój ojcze, ja sama tylko chcę doświadczyć, azali zdołam margrabiego ratować, ciebie ojcze nie chcę narażać na przykrości tego przedsięwzięcia.«

»Ja ci będę towarzyszył, nie chcę cię zostawić samę śród niebezpieczeństwa. Prawda, że pomoc starego Żyda, nie może ci się na nic przydać, ale przynajmniéj twój los będzie i moim.«

»Ojcze! Ty masz najlepsze, najszlachetniejsze serce!« To mówiąc, ze łzami w oczach, rzuciła się ojcu w ramiona i okrywała pocałunkami ręce i nogi.

»Ty jesteś mojém dziécięciem, moją najdroższą córką, ja cię kocham nad wszystko«, rzekł rozczulony starzec.

*

Dyjana, chociaż znużona podróżą, nie mogła jednak zasnąć, silne wzruszenie płoszyło sen z jéj oczu. Nie zmrużywszy oka, z brzaskiem dnia, porwała się z łoża, i długo, gorąco modliła się do Boga. Po modlitwie zaczęła się ubiérać. — Gdy dziéwczyna wyszła zrana do sieni, stara Marta nie mogła wyjść z zadziwienia, nie mogła z niéj zdjąć oka, jeszcze nigdy nie była tak piękną. Miała na sobie świąteczne suknie, a chociaż te nie były bogate, wytworne, przecież wyglądała jak pieścidełko.

W kilka chwil potém przyprowadzono dwa muły. Marta nie mogła się posiadać z zadziwienia: »Święta moja patronko!« zawołała, klasnąwszy w obie ręce. »Co ja widzę? Tak tylko książęta jadą!«

»Wiécie co poczciwa Marto«, odrzekł śpieszno Elijasz. »Pewien bogaty mieszczanin zamówił u mnie drogie kamienie, otóż chcę paradnie wystąpić, bo wiécie, jak cię widzą, tak cię piszą.«

»Święta prawda, widać, że macie rozsądek i doświadczenie. Szczęść wam Boże!«

Oboje dosiadłszy mułów, ruszyli do królewskiego zamku. Dziśby się śmiano, gdyby kto na mule jechał do Luwru, ale wtedy, za czasów Ludwika XIV. Paryż nie był brukowany, ulice błotniste, chodników ani widać; trudno wies

było sucha przejść nogą. I tak z niemałym trudem dostali się do zamku. Elijasz siedział na mule, jak to mówią, po łacinie, nie umiał go zażyć, muł znarowiony okrył naszego jeźdca od stóp do głowy uliczném błotem. Piękna Dyjana umiała zażyć zręcznie swojego wierzchowca, przeto żadnéj nie poniosła szkody. Stanąwszy przed bramami luwru, Dyjana odważnie zeskoczyła z muła i wprost chciała wejść do zamku.

Straż stanęła jéj w drodze.

»Za pozwoleniem«, mruknął jeden ze straży, sażnisty wąsal, który widząc przed sobą ładniuchną dziewczynę, starał się złagodzić surowość swojego głosu. »Tak obcesowo tu się nie wchodzi moje piękne dziécię, tu nie wolno wejść.«

»Ja muszę mówić z królem«, odrzekła odważnie Dyjana.

»Jeźli nie macie za sobą wielkich panów, którzyby was wzięli pod opiekę i wprowadzili do zamku, to nadaremne wszystkie wasze zabiegi.«

Podczas téj rozmowy przystąpił sierżant i ofuknął żołniérza témi słowy: »Jako? stojąc na straży, śmiész się rozmawiać. Pójdziesz mi na ośm dni do więzienia. Ty zaś moja piękna ustąp z tąd, albo każę cię doboszom przepłoszyć.«

Elijasz zbliżył się do sierżanta i rzekł: »Mój łaskawy panie! oto jest pieniądz złoty, który ci z kieszeni na ziemię wypadł.«

»Jeden tylko? Jam dwa upuścił, nieprawdaż?« zapytał sierżant łagodniejszym głosem, chowając do kieszeni dukata.

»Przystanę i na trzy, niech tylko mojéj córce będzie wolno, wejść do pałacu.«

Sierżant pokręcał wąsa, namyślając się przez długą chwilę.

»Idzie tu o rzecz bardzo wielkiéj wagi«, przerwała Dyjana milczenie, »idzie tu o śmierć lub życie młodego żołniérza.«

»Imię jego...«

»Margrabia Senancourt.«

»Do stu szatanów! On ma jutro zginąć. Nie ma chwili do stracenia.«

»Wielki Boże!« zawołała Dyjana w rozpaczy, a trupia bladość okryła jéj lica.

»Wczoraj przywieziono go do Paryża, dziś wydano wyrok, jutro zginie pod toporem. Tak chce król, czyli raczéj jego kardynał Mazarin. Jak z tchórzem lub zbrodniarzem obchodzą się z walecznym żołniérzem, który w sprawie honoru dobył oręża!«

»Widzisz teraz sam mój panie«, rzekła Dyjana wzruszonym głosem, »że muszę natychmiast mówić z królem.«

»Trudna to sprawa. Chcę jednak mówić o tém z kapitanem, on ma dobre serce, zna dobrze margrabiego, obadwaj służyli w jednym korpusie.«

Sierżant udał się do kapitana. Dyjana widziała z dala, jak po kolei mówił z oficerami.

»Nie ma nadziei«, rzekł sierżant, powróciwszy do Dyjany.

Biédna dziéwczyna odchodziła z rozpaczy od zmysłów, i zaléwała się gorącémi łzami.

W téjże chwili udérzono w bębny, żołniérze stanęli pod bronią, młoda dama wychodząc z królewskiego zamku, wsiadła do lektyki, którą sześć osób niosło.

Dyjana rzuciła się jéj do nóg i błagała ją przenikającym głosem: »Ktokolwiek pani jesteś, nie odtrącisz dziéwczyny żebrzącéj łaski i litości. Pani masz przystęp do króla jesteś wszechwładną, ulitujesz się nad moją rozpaczą.«

To mówiąc, wlokła się za lektyką. Dama rozkazała się służalcom zatrzymać: »Czegoż żądasz odemnie młoda dziéwczyno?« zapytała Dyjanę surowym tonem.

»Racz wyjednać ułaskawienie dla margrabiego Senancourt«, odrzekła śmiało dziéwczyna, nie spuszczając oczu, chociaż ją ta wielka dama przenikającym wzrokiem bodła. Niebezpieczeństwo zawieszone nad głową jéj wybawcy, dodało słabéj dziéwczynie odwagi i męztwa.

»Jakaż wina margrabiego?«

»Pojedynek....«

»Jeźli tak, to nie ma żadnéj nadziei. Król nic chce nikomu przebaczyć, kto się dopuścił pojedynku?«

»Pani racz mnie wysłuchać: Margrabia zasłonił mnie swoją piersią, i uratował mój honor; aby mnie wydarł z rąk dzikich żołniérzy, przekroczył zakaz królewski.«

»Ja nie mogę nic uczynić dla twego kochanka«, odrzekła dama, a na jéj twarzy widać było rozczulenie.

»Mego kochanka, mówisz pani«, odrzekła Dyjana z godnością. »Margrabia nie jest moim kochankiem, on raz tylko widział mnie w swojém życiu, w ówczas kiedy się zjawił ku méj obronie.« — Dama wpatrzywszy się w oblicze Dyjany, zapadła w głębokie myśli.

Dziéwczyna złożyła ręce, padła na kolana, i zawołała głosem rozpaczy: »Ach ratuj go pani, ratuj, zaklinam cię na wszystko, co tobie świętém!« Ten wykrzyk przebudził damę z zadumania. Kazała dziéwczynie powstać, zbliżyć się do lektyki i rzekła:

»Uważaj dobrze, co ci powiém.«

»Słucham cię pani jak wyroku Boga!« odrzekła Dyjana.

»Maszże odwagę, poświęcić się dla margrabiego, i wszystko wypełnić, co ci rozkażę? Będę wymagać ślepego posłuszeństwa, które może życiem będziesz musiała okupić. Jeźli wyjednam

uzaskowienie margrabiego Senancourt, ciałem i duszą będziesz do mnie należéć. Pamiętaj, że nic w świecie nie zdoła zerwać zawartéj między nami umowy!«

»Poprzysięgam ślepe posłuszeństwo!«

»Od téj chwili należysz do mnie. Odpowiadaj na moje pytania: Jak długo bawisz w Paryżu?«

»Od wczorajszego wieczora.«

»Masz tu jakie znajomości?«

»Pięć lub sześć osób zna mnie w Paryżu.«

Nieznajoma dama zmarszczyła brwi, zdawało się, że ją ta odpowiedź niepokoiła bardzo.

»Wymień twoich znajomych.«

»Naprzód mój ojciec.«

»Jego stan?«

»Kupiec prowadzący domo-krążny handel.«

»A reszta znajomych...?»

»Nasza gospodyni w domu zajezdnym pod słońcem, przy ulicy *Geoffroy l'Asnier*, pani Martin, jéj mąż....«

»Dość mi na tém, nie chcę wiedzieć«, przerwała dama wypogodziwszy czoło. »Weź tę zasłonę i wracaj do oberzy; pamiętaj, aby nikt nie widział twarzy twojéj. Przybywszy do domu, zamkniesz się wswoim pokoju i będziesz oczekiwać dalszych rozkazów moich. Osoba, którą do ciebie przyszlę, na znak, że jest moim wysłańcem, żądać będzie, abyś jéj tę zasłonę zwróciła: Za nią udasz się bez zwłoki, i rozłączysz się z swoim ojcem.« Łzy stanęły w oczach dziéwczyny.

»Wahasz się?« zapytała nieznajoma dama. »Jeszcze czas, możesz zerwać układy, jeżli żałujesz tego, coś uczyniła.«

»Nie, nie żałuję«, odrzekła dziéwczyna z silném postanowieniem. »Wszystko poświęcę, bylem go uratowała!«

»Bywaj więc zdrowa!«

Dyjana ucałowała rękę nieznajoméj damy, zakryła twarz zasłoną i przystąpiła do ojca, który w trwodze oczekiwał końca.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 7. i obejmuje: 1) O uprawie maku i ztąd wynikających korzyściach. 2) O klasyfikacyi i podziale gruntów, w zaprowadzeniu systematu płodo-zmiennego gospodarstwa, do miejscowych okoliczności zastósowanego. (Ciąg dalszy). 3) Odpowiedź na niektóre z pytań szóstego zgromadzenia niemieckich gospodarzy wiejskich i leśnych w Stutgardzie 21. września r. z. do roztrząsania przedłożonych. (Sekcyja II). (Dokończenie). 4) O fabrykacyi octu za pomocą metody pospiesznej. 5) Wspomnienie o instytucie agronomicznym w Marymoncie pod Warszawą. (Dokończenie).

Z Warszawy. Numer 1. *Przeglądu naukowego* na rok 2., wyszedł 1. stycznia i zawiera: 1) Spokojny wieczór, poezyja z rękopismu jednego z piérwszych pisarzy polskich. 2) O marynarce polskiéj, przez Łukasza Gołębiowskiego, rzecz wprost udzielona Redakcyi. 3) Rozwijanie się literatury polskiéj w XIX wieku. 4) Stan obecny, przez E. Dembowskiego. 5) Żywot J. J. Kraszewskiego i ostatnie dzieło jego: *Obrazy z życia i podróży*, przez Skimborowicza. 6) Rozbiór histor. literat. polskiej Wiszniewsk., przez prof. Maciejowskiego. 7) Kronika piśmien. polsk. 8) Myśli o wychowaniu kobiet, Eleon. Ziemięckiéj. 9) Hiszpanka w Polszcze, przez A.—N. zapominajki na rok 1843 (rozbiór). —— Tegoż pisma Nr. 2gi i 3ci zawiérają: 1) Jan Kochanowski autorki *Karoliny*, rozbiór pod względem dziejowym, przez W. A. Maciejowskiego. 2) Biblijoteki warszawskiéj, szczegółowy rozbiór krytyczny z r. 1841 i 1842, przez N. Wróblewskiego. 3) Ojciec Hilary, szkic poetyczny, przez Wł. W. 4) Doniesienia naukowe, przez prof. F. Jezierskiego. 5) Co ja lubię, poezyja, przez A. Dembowską. 6) Żaki, K. Wł. Wójcickiego (udziel. od Aut.) 7) Dalszy ciąg myśli o rozwijaniu się piśmiennictwa polskiego w XIX. wieku, przez Dembowskiego Edwarda. 8) Stan obecny. 9) Dalszy ciąg żywota Kraszewskiego, przez H. Skimborowicza. *(K. W.)*

W dniu 5. b. m. zmarł w szpitalu ewanielickim znany z prac literackich Seweryn Zeno Sierpiński, autor: *Historycznego obrazu miasta Lublina i Powieści*. Przed śmiercią zajmował się napisaniem historyi Akademii Zamojskiej, dzieła dla biblijografii i historyi literatury krajowej nader użytecznego. *(G. W.)*

Drukarz Boulé w Paryżu, jestto rzadki, jenijalny człowiek, który znając potrzeby swojego wieku, z postępów mechaniki przenosi korzyści na pole literackie. Drukarnia jego podobna do olbrzymiéj fabryki. Trzy maszyny parowe są przez całe noce ciągle w ruchu, a jedna z nich i we dnie pracuje. W téj drukarni wychodzą następujące czasowe pisma: Dziennik *l'Estafette*, pismo literackie, *le salon literaire* i *le magazin literaire*. Co szczególniejsza, pan Boulé, fabrykuje hurtem dzienniki prowincyjonalne. Wiadomo, że pisma na prowincyi robią wyciągi z dzienników paryskich. Otóż pan Boulé przełożył redaktorom, że nie małą odnieśliby ztąd korzyść, gdyby im gotowe przesyłano wyciągi, przezco oszczędzonoby koszta druku, redakcyi i honoraryja. Jakoż dla 50 dzienników prowincyjonalnych, podjął się robić podobne wyciągi. Jeden nakład służy dla wszystkich dzienników, daje się tylko inny tytuł, i zostawia się próżne miejsce na dwie lub jedną kolumnę, dla umieszczenia wiadomości miejscowych. Tym sposobem dostaje redakcyja na prowincyi przez pocztę całe pismo gotowe, ma tylko zapełnić próżną kolumnę I z tąd idzie, że w kilka godzin po przybyciu poczty, redakcyja może rozsełać pismo swoje po prenumeratorach. Niedawno nabył tenże spekulant drukarski pismo *Courier français* za 200,000 franków i dziennik *la Patrie*. Przedsiębierstwo jego można nazwać fabryką gazet na wielką stopę. W nócy panuje tam największa czynność. Wszedłszy do drukarni, razi oczy blask światła, które ze wszystkich stron bije. Zakupił on za 6,000 franków nową maszynę do sadzenia czcionek i chce ją zaprowadzić w swojéj drukarni.

Cynofagi. Psie mięso miały starożytne narody za wielkie przysmaki. Pisarz grecki Porphyr opowiada początek tego zwyczaju w ten sposob: Jednego razu dano psa bogom na objatę. Część ofiarnego mięsa spadła przypadkiem na ziemię, a kapłan podnosząc je i kładąc na ołtarzu, poparzył sobie palce. Mimowolnie do ust je włożył, aby ból uśmierzyć, i tym sposobem poczuł smak przyjemny. Po skończonym obrzędzie nie kazał już wyrzucać mięsa, jakto zwykle czynił, ale wziął z sobą do domu, gdzie również i rodzina jego uznała, że jest bardzo smaczne. Od téj chwili psie mięso nie schodziło z stołu kapłana. Wkrótce dowiedziano się o tém w mieście. Przyszło do tego, że na najwytworniejszych stołach Greków, wymyślnych łakotnisiów, zastawiano psy pieczone jako rzadkie specyjały. — Za naszych czasów psie mięso służy za pokarm tylko mieszkańcom niebieskiego państwa i na poł dzikim ludom Azyi, Afryki i Ameryki. Mięso z młodego psa, mają Murzyni za najlepsze jadło, równie

jak i mieszkańcy Kanady, Kamczatek i Wysep na południowém morzu. — O potrawach Chińczyków udzielają nam teraz Anglicy szczególniejszych wiadomości. Chińczycy nie używają mleka, brzydzę się niém jako nieczystym i odrażającym napojem. Naśmiéwali się z żołniérzy angielskich, gdy ci przybywszy do Chin, krowie i kozie mléko pili. Ale sami jedzą psie mieso z wielkim apetytem. Jak u nas chodzą koło gęsi i kaczek, w takiemże staraniu są psy u Chińczyków. Psie mięso znajdziesz po wszystkich jatkach. Ale że jest za drogie, więc tylko najznakomitsi niebieskiego państwa mogą je miéć na swym stole. — Pewien angielski oficer, był zaproszony przez Chińczyka na obiad. Zastawiono pasztety, które mu bardzo smakowały. Sądził on, że mu dano potrawy z drobiu, gdy oto dowiedział się przez tłumacza, że pasztet składał się po największej części z psiego mięsiwa.

Płcé piękna w Paryżu, porzuca domowe ognisko i wjeżdza w szranki literackie. Teraz możnaby naliczyć więcéj autorek, niż autorów. I tak *Feuilleton* dziennika *Presse*, należy wyłącznie do pani Girardin, St. Marc, znanéj pod imieniem hrabiny Dash i hrabiny Agoult, wielkiéj protektorki Liszta. Pióro mężczyzny z tego pisma wyklęte.

W ogrodzie w *Walmerschloss*, wiejskiéj siedzibie księcia Wellingtona, wznosi się piękna, płacząca wierzba. Latorosl jéj wzięta była z wiérzby ocieniającéj grób Napoleona na wyspie S. Heleny.

Uprzejmość mieszkańców Syberyi. Jeden z podróżnych angielskich zwidził Syberyję i był nadzwyczaj zachwycony tym pięknym krajem i jego mieszkańcami. »Skorom wstąpił na granicę Syberyi«, mówi tenże, »postrzegłem zaraz zamożniejszy lud, wygodne i schludne domy, a mieszkańców tak uprzejmych i gościnnych, jak tylko sobie wyobrazić można. I tak naprzykład: posłaniec niesie pud, za półtrzecia ruhla przez tysiąc pięćset wiorst; gdyż tak on, jak i jego koń, bywa wszędzie bezpłatnie przyjęty i hodowany. Pewien żołniérz szedł pieszo z Petersburga do Syberyi, dla odwidzenia swéj rodziny, a skoro dostał się do Sybiru, nie potrzebował już ani grosza pieniędzy, gdyż nikt nie chciał przyjąć ani za nocleg ani za jadło zapłaty.«—Dziwić się należy, dla czego pomieniony podróżny w tem Eldorado nie pozostał.

Zmienne koleje losu niewiast. Wiadomo, że Bonaparte założył w Ecouen dla płci żeńskiej instytut wychowania, do którego przyjmowano córki osób wojskowych wszelkiego stopnia i gdzie im jednakowe dawano wychowanie. W téj szkole troje dziewcząt: Hortenzyja, Maryja i Klarysa zawarło z sobą ścisły związek przyjaźni. Maryja była córką biednego porucznika, który w bitwie obie oczy stracił; ojciec Klarysy zaś był jednym z tych jenerałów, którzy w wojnie rewolucyjnéj uzbiérali sobie wielki majątek, i któremu Napoleon księztwo darował. Hortenzyja zalecała się jeszcze znakomitszą familiją. Upłynęło lat kilka, a trzy przyjaciółki nakoniec się rozstać musiały; Maryja, któréj matka umarła, miała odjechać do domu dla pielęgnowania ciemnego ojca. Nim się rozstały, przysięgły jedna drugiéj, że po upływie lat dziesięciu, w tenże sam dzień o godzinie szóstéj wieczorem, zejdą się znowu przed bramą tuileryjów, choćby się cokolwiek bądź w tym przeciągu czasu wydarzyło. Przywołano w poblizkości pracującego ogrodnika, aby był świadkiem przysięgi. Nazajutrz odjechała Maryja; w trzy miesiące późniéj poszła Klarysa za mąż, a nim rok upłynął, i Hortenzyja opuściła instytut. — Minęło lat dziesięć. — Byłoto pod jesień w niedzielę, za dziesięć minut miała już uderzyć szósta godzina, a z trzech przyjaciółek żadna nie przybyła na umówione miejsce. Ale z ostatniém uderzeniem zegaru, zajechał paradny powóz cztérma końmi przed bramę. Konie stanęły, a z powozu wysiadła pięknie i przepysznie ubrana dama. Byłato Maryja, córka ubogiego porucznika. Napoleon poszedł na wygnanie a familija Bourbonów zasiadła na francuzkim tronie. Jak inne familije szlacheckie, tak i familija Maryi odzyskała znaczne swe majętności, które rewolucyja była zabrała. Gdy Maryja czekała, zbliżyła się z nieśmiałością w przystojnym ale bardzo skromnym ubiorze jakaś pani, i przemówiła do niéj. Nie minęła chwila a już Maryja rzuciła się w objęcie swéj przyjaciółki Klarysy. Bogata Klarysa, córka jenerała i małżonka pana milijonowego, już dawno była z-ubożała. Mąż jéj, bankier, zbankrutował i uszedł z kraju. »Późniéj opowiesz mi twoje wypadki«, rzekła Maryja, »bo odtąd już się nie rozłączymy. Ja byłam uboga w Ecouen, a tyś mnie przecie kochała. Teraz jestem bogata, dla tego przy mnie pozostaniesz.«— Klarysa właśnie zabiérała się wsiąść do powozu swéj przyjaciółki, aż oto pytającym wzrokiem spojrzały obiedwie, jedna na drugą. »Ale gdzież jest Hortenzyja?« —»Wiadomo, czém ona była«, odezwała się Maryja z westchnieniem.—»I nie tajno ci zapewne, czém jest teraz«, dodała Klarysa i łzy potoczyły się po jéj licu. Dziesięcio-letni przeciąg czasu zbogacił Maryję, z-ubożył Klarysę, a Hortenzyję—wygnał z Francyi.

Zaga normandzka. Misikról, wołowe oczko, czyli krzciuczek, doznaje szczególniejszego poważania w Normandyi, i każda matka zaleca swoim synkom, by nie tykali gniazdeczka téj ptaszyny, gdyż ona z poświęceniem swojem wyświadczyła dawniéj ludziom wielką przysługę, którzy jéj za to wieczną wdzięczność winni: przyniosła ona z nieba ogień na ziemię. Lecz z ubolewaniem dodaje zaga, iż ptaszek ten tak się opalił, że prawie wszystkie swoje piórka postradał. Dla pokrycia piérzem tego niebożątka, który dla spół-stworzeń swoich stał się ofiarą miłości, połączyły się wkrótce wszystkie ptaki, i każdy z nich dał mu piórko, jedna tylko kukułka wyłączyła się z téj pomocy, dla tego też ona jest przedmiotem nienawiści i wzgardy, i dla tego ją wszystkie ptaki, skoro się gdzie pokaże, jeszcze po dziś dzień szyderstwem prześladują. Niektóre jak n. p. szczygieł, obdarzyły tego maleńkiego pogorzelca najpiękniejszémi piórkami, które w kształcie korony go zdobią, i od téj ozdoby został Mysi-królem przezwany. — Makolągwa chcąc pospieszyć w pomoc téj biédnéj palącéj się ptaszynie, tak się do niej zbliżyła, że sobie gardziołek opaliła; dla tego też ma piękną, czerwoną łatkę na gardziołku, od któréj swoje nazwisko *Czerwono-gardł* wzięła.

Sławny kompozytor Händel, był właścicielem wielkiego domu opery w Londynie, i na arfie dyrygował orkiestrą. Grał on tak wdzięcznie na téj arfie, iż publiczność nieraz uwagę swą od śpiewu na jego grę zwracała. Jeden z operzystów włoskich tak się tem rozgniewał, iż poprzysiągł: że, jeżeli mu Händel jeszcze raz taką psotę wypłata, tedy on ze sceny na jego instrument skoczy. »Dobrze«, odrzekł Händel, »ale oznajm mi wpan z łaski swojej, którego wieczora to uczyni, abym to afiszem ogłosił, a jestem pewny, że większy będę miał dochód ze skoku niżli ze śpiewu wpana.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera

Drukiem Piotra Pillera.